Kraków, 1 stycznia 1920 r. Nr. 1.

„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 kor. 40 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



(Tekst na odwrotnej stronie)



Z Nowym Rokiem.

Od Krakowa Bocian leci,
Ptak humoru, dawca dzieci,
A choć troski wszystkich gniotą,
On Wam mówi: Mniejsza o to!
W górę serca, w górę głowy,
Powitajmy ten Rok Nowy!...
Niechaj dobra wieść się szerzy:
Panny, wdowy, kawalerzy
I mężatki i rozwódki
Rzućcie na dziś troski, smutki,
Posłuchajcie czego życzy
Ptak rozkoszy i słodyczy:
Pod Bociana więc egidą
Niechaj panny za mąż idą,
Pod Bociana zacną wodzą
Niech mężatki dzieci rodzą,
Za Bociana władzą szczytną
Niech miłości różdżki kwitną,
Niech wydadzą plonów szereg
Ku uciesze akuszerek!
Tego wszystkim Bocian życzy,
Ptak miłości i słodyczy!...





Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy I-szy kwartał XXIII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową od 1-go stycznia 1920 r. wynosi:

Rocznie	K	57·60
Półrocznie	„	28·80
Kwartalnie	„	14·40
Pojedynczy egzemplarz	„	2·50

Co to może jedna litera.

(Fatalna omyłka druku w powieści).

...Panna Lola wystąpiła na zabawie kostyumowej w przebraniu pazia z czasów Ludwika XIV.: szpada, frak z żabotami, trójkątny kapelusz, spodeńki uwydatniające jej powabne kształty. Była też przedmiotem ogólnego podziwu. Zwłaszcza jej szpada imponowała wszystkim...

Najprzyjemniejsze sny

mają:

Łysy — gdy mu się śni, że go strzygą.

Paskarz — że kryminał zamknięto raz na zawsze z powodu braku opału i aprowizacyi.

Rzeźnik, masarz, piekarz, kupiec — że z powodu spodziewanego końca świata przestaje obowiązywać taryfa maksymalna.

Urzędnik — że w każdym miesiącu będzie dwa razy pierwszego.

Radca cesarski — że przecież radził cesarzowi (w braku tegoż królowi kurkowemu lub bodaj temu z... *Bagateli*...)

Profesor i uczeń — że brak węgli potrwa bodaj do lipca.

Mniejszość narodowa — że niedzielę przeniesie się na sobotę, aby w ten sposób ułatwić asymilacyę.

Podlotek — że można męża odmienić co miesiąc, a dzieci rodzą się tak, jak obwieściła to owa amerykańska lekarka, w retorcie.

Amerykański astronom — że się nie pomylił, oznaczając koniec świata na 17 grudnia.

W świętem oburzeniu.

Pan Dratewka, mistrz sławetnego kunsztu szewskiego *vulgo* szpadała, będąc w poniedziałek, co się zresztą bardzo często szewcom zdarza, w niehumorze, cały ceber swej złości wylał na swego czeladnika, czem go doprowadził do prawdziwie szewskiej pasyi.

— Ja gwizdam na pana majstra! — rzekł czeladnik w świętem oburzeniu. — Ja miałbym sobie co robić z takiego majstra, co się od „d“ zaczyna, a na „a“ kończy?!

Zawzięty patolog.

Pani (żona profesora): Jakto? Tyle godzin wysiedziałaś się za ziemniakami?

Służąca: Proszę pani, musiałam stać w długim ogonku.

Pan (profesor patologii, obecny w pokoju, słysząc te słowa, zastanowił się i w tonie wykładowym powiada): Ona potrzebowała stać w ogonku — raczej powinno być odwrotnie. Panowie! Mamy tu *situs inversus* (odwrotny stan rzeczy).

NOWY ROK.

(Tak, jak się on właściwie dziś przedstawia).

Sylwestrową noc, która powinna według niemiecko-żydowskiego zwyczaju być bardzo wesołą, spędziłem w samej rzeczy bardzo wesoło.

O godzinie ósmej wieczorem położyłem się spać, gdyż nie miałem ani nafty, ani świecy, ani niczego podobnego. Wpakowałem się zatem pod kołdrę i tam urządziłem sobie centralne ogrzewanie, dziękując Panu Bogu, że mam bodaj jeszcze kołdrę.

I usnąłem szczęśliwie, choć moje sympatyczne towarzyszki nocne, pluskwy, nie zapomniały o mnie. Widocznie i one obchodziły także „Sylwestra“.

Jako członek czynny Towarzystwa ochrony zwierząt, żadnej z nich nie zrobiłem nic złego, jedynie dwie z nich, które zapuściły się aż na mój nos, za to zuchwalstwo skazałem wedle starego kodeksu na „pławienie“ i utopiłem w tem naczyniu, jakie miałem pod ręką.

Że zginęły marną śmiercią, to ich własna wina, gdyby bowiem umiały pływać, kto wie, czy nie byłyby dziś mimistrami, w każdym zaś razie, co najmniej, kandydatki na nich! Wykształcenie domowe, poparte jeszcze świadectwem ukończonego kursu pływania, otwiera dziś drogę w świat nie szeroki ale... najszerszy!

To jednak do rzeczy nie należy, bo ja już śpię, gdy tymczasem inni bawią się w rozmaitych kawiarniach i restauracyach.

Czy nie prawda? Niechaj na to odpowie mi ktoś, z zastrzeżeniem, że nie jest ani paskarzem, ani dostawcą. Taki nie śpi, a ponieważ nie słyszał huku armat, cieszy się, gdy mu strzelają butelki szampanowe!...

Koniec końców, usnąłem jakoś szczęśliwie, ciesząc się tą myślą, że zrobię na złość jutro memu gospodarzowi, gdy mu, w sam dzień Nowego Roku, oświadczę, że czynsz za mieszkanie złożę dopiero później. Złośliwym nie jestem, ale mnie to cieszyło, że w sam dzień Nowego Roku zrobię mu taką przyjemną niespodziankę.

I usnąłem snem prawdziwie sprawiedliwych, gdyż takim jestem w samej rzeczy.

A że każdego sprawiedliwego człowieka czeka nagroda, jeśli nie w tem życiu, to w przyszłem, cóż ja jestem temu winien, że mnie to spotkało akurat dziś.

Sny miałem bardzo przyjemne, niczem ten łysy, któremu się śni, że go strzygą.

Przedewszystkiem śniło mi się, że kolacya bardzo mi smakowała. Wprawdzie składała się ona tylko z herbaty, którą jednak przecedziłem przez srebrne sitko, wyobrażałem sobie przecież, że zjadłem porcyę zrazów z kaszą (mamy Polskę, więc powinno się jeść i polskie potrawy...).

A rano, w sam dzień Nowego Roku, według starego zwyczaju była pierwszym moim gościem stara Maciejowa, stróżka, zarazem moja obsługaczka, która, stanąwszy koło mego łóżka, rzekła:

— Panie!... Bo to dziś Nowy Rok!

Sięgnąłem pod poduszkę, by jej podziękować za te „życzenia“ bodaj papierową koroną.

— E!... — rzekła z jakimś dziwnym grymasem — Niech się pan nie siepią!... Teraz nastały już inne czasy!... Ja przyszłam panu powinszować, a że wiem, że wy biedaki, nie macie nieraz co włożyć w gębę, składam tu panu dziesięć koron, odemnie i od mego męża. Idź, biedaku i bodaj w dzień Nowego Roku zjedz co porządnego.

Chciałem ją za ten dowód życzliwości pocałować bodaj w rękę, niestety, w tej samej chwili odwróciła się do mnie tyłem, zabrała trzewiki do wyczyszczenia i wyszła.

Po chwili zjawił się listonosz.

Siegam po pulares, on daje mi znak ręką bym się niepotrzebnie nie fatygował.

— Daj pan spokój — mówił — Ja wiem, że wy, burżuje, sami nic nie macie! Przez cały rok martwiłem się, że nie mogę panu przynieść jakiego przekazu bodajby na tysiąc koron. Ale dziś, przy Nowym Roku, niech pan się zabawi...

To rzekłszy, wyjął z kieszeni dwadzieścia koron i położył na stole.

Chciałem mu podziękować, ale on na to nie czekał.

Po chwili odzywa się dzwonek.

Idę do drzwi, otwieram i widzę jakiegoś bardzo eleganckiego pana.

— Kominiarz!... — rzecze do mnie z ukłonem.

— Bardzo mi przyjemnie! — odpowiedziałem, ale bynajmniej nie zrobiło mi się przyjemnie, gdyż wiem, że taka „przyjemność“ kosztuje bodaj dwie korony.

Sięgnąłem do kieszeni, ale on widocznie spostrzegł mój gest, gdyż zauważył:

— Pan jest w błędzie!... Ja nie przyszedłem po to, by mi pan coś dał!... Broń Boże!... Owszem, ja chcę panu powinszować, gdyż wiem, że tam z wami dziś krucho.

I z wielkopańskim gestem sięgnął do kieszeni i wręczył mi piątkę. Schowałem ją do kabzy, wychodząc z praktycznej zasady: „Bierz Michale, co pan Bóg daje!...

(Wprawdzie nie nazywam się Michał, ale,

Szczególniejszy obstalunek.

Przyszła do restauracyi
Pewna znana dama,
Co zaś z tego najciekawsze,
To, że przyszła sama.

Patrzą wszyscy i zaledwie
Oczom swoim wierzą,
Ona zawsze otoczona
Wykwintną młodzieżą.

Ona, która za przykładem
Półświatka bożyszczy,
W każdem męskiem towarzystwie
Niby brylant błyszczy!...

Siedzi sama i znudzona
Dokoła spoziera,
Wreszcie, zdjąwszy rękawiczkę,
Skinie na kelnera.

Podbiegł kelner i z ukłonem
Pyta, co pozwoli,
Dama kartę z spisem potraw
Przegląda powoli.

Wreszcie rzecze do kelnera
Tonem pełnym złości:
Co u licha!... Czy nie macie
Żadnych wolnych gości?!

Zbiórka kauczuku w r. 1915.

Do pewnej paniusi, mieszkającej samotnie, nawet bez pieska, zadzwoniono w godzinach rannej toalety.

— Proszę pani, zbiórka kauczuku i gumy.

Zmieszała się pani, szuka po głowie, co u niej może robić guma.

— Dzieci nie mam, ani... — myśli i przerzucając w szafce nocnej, powiada pod nosem — Tego nie... No więc cóż? Przecie coś trzeba dać.

Nareszcie ofiarowała... swoje biusta.

Nie udało się.

Baron Mikosz, o którym tyle anegdot krąży po świecie, był raz w pewnem wesołem towarzystwie, gdzie zabawiano się różnymi „kawałami".

— Wiecie państwo — mówił gospodarz — mam bardzo osobliwego kota. Unikat w swoim rodzaju!... Nie spotkałem nigdzie dotąd podobnego!... On woli musztardę, niż kawałek kiełbasy...

Gdy zgromadzenie wyraziło powątpiewanie wyszedł, a po chwili wrócił, niosąc kota. Ot, zwykły sobie burek, tak jak każdy inny.

Gospodarz wziął w jedną rękę kawałek kiełbasy, palec zaś drugiej ręki posmarował musztardą i w tej chwili, gdy podsunął kiełbasę kotowi pod nos, potarł mu musztardą podogonie.

Kocisko, lubiące czystość i porządek, ani spojrzało na kiełbasę, ale zajęło się zaraz tualetą, usuwając musztardę z niewłaściwego miejsca przy pomocy języka.

— A co?... Nie mówiłem?... — śmiał się gospodarz — To jest moi państwo specyalny gatunek kotów, tak zwane kot musztardowy...

Żart podobał się wszystkim, najbardziej zaś baronowi, który postanowił popisać się nim u siebie w domu.

Sprosił w tym celu sąsiadów, zapowiadając, że pokaże im bardzo ciekawy okaz, mianowicie musztardowego psa, który miał mu w danym wypadku zastąpić kota, gdyż tych stworzeń nie lubił i w domu ich nie chował. Sądził zaś, że to wszystko jedno, pies czy kot.

Najpierw opowiedział gościom, jakie zalety ma to dziwne zwierzę, przedkładające musztardę nad kiełbasę, a gdy ten i ów zaczął powątpiewać, porobił nawet wysokie zakłady na prawo i lewo, że pies ani spojrzy na kiełbasę, a zabierze się do musztardy.

Z należytem nabożeństwem zabrał się do dzieła i postąpił jota w jotę tak samo, jak to widział u swego przyjaciela, nie żałując naturalnie ani kiełbasy, ani musztardy.

Jakież jednak było jego rozczarowanie, gdy się nie powiodła próba..

Pies zawiódł w zupełności wszystkie nadzieje, chwycił bowiem za kiełbasę i połknął ją, a potem siadł na ziemi, zadarł tylne nogi nieco ku górze i przejechał się parę razy po dywanie, urządzając tak zwaną przez myśliwych „sannę", by się uwolnić od musztardowego zanieczyszczenia.

Nie zawierać drzwi!

Rok się znała z narzeczonym,
Który bywał w domu matki,
Aż raz, chcąc być swobodniejszą,
Poszła z nim do separatki!

Marynaty, kawior, szampan,
Zwłaszcza szampan poszedł w główkę,
Narzeczony w gabinecie
Wnet drzwi zawarł na zasuwkę

I z uśmiechem, po zakąsce,
Podał lubej potraw kartę
I wyszeptał: Mój aniele!
Bądź spokojna, drzwi zawarte!

Gdy wychodzą chwiejnym krokiem
Widzą ludzie naprzeciwko,
On z krawatem przekręconym,
Ona ze zburzoną grzywką.

Odtąd często tu bywali,
Nic nie mówiąc dobrej matce,
Ona piła, on tymczasem
Drzwi zawierał w separatce.

Aż raz drapnął na kraj świata
Narzeczony, o mój Boże!
Gdyby drzwi nie był zawierał,
Zawarłby małżeństwo może!...

Maszynka do próbowania głosu.

Panna Kazia, artystka dramatyczna, po wczorajszej kolacyi czuła się jakoś niedobrze i dlatego postanowiła zostać w łóżku. Jadła same niestrawne rzeczy, skutkiem czego okazała się potrzebną nawet pewna operacya, do której konieczny jest aparat wynalazku ś. p. Hegara.

Już było po wszystkiem, panna Kazia czuła się i lżejszą i zdrowszą, gdy pokojowa zawiadomiła ją, że przybył pan radca cesarski (jej opiekun i przyjaciel...), aby się dowiedzieć, jak się ma.

Kazała prosić.

Wszedł pan radca, siadł na stojącym obok fotelu i rozpoczął rozmowę, w ciągu której bawił się rożnymi przedmiotami, leżącymi na szafce nocnej koło łóżka. A były tam, między innymi i części składowe owego aparatu, który przed chwilą był w użyciu.

— A co to jest? — zapytał pan radca, biorąc do ręki jakiś kawałek rogu czy też kauczuku, przypominający wyglądem gwizdek lub trąbkę.

Panna Kazia zaramieniła się, nie tracąc jednak fantazyi, rzekła:

— To jest, panie radco, maszynka do próbowania głosu!...

Widocznie musiał go ten drobiazg zastanowić, gdyż oglądał go z ciekawością, a po chwili zagadnął:

— Czy mógłbym i ja spróbować?

— Dlaczego nie! — odparła, bo i cóż miała powiedzieć innego.

— A jak się to próbuje?... Zapewne tak? — to rzekłszy, wziął ów przedmiot do ust i zaczął weń dmuchać coraz silniej.

Ale skutku nie było.

— Jakoś nie idzie! — rzekł do siebie, a potem z jakąś nieopisaną miną dodał głośno. — Niech się pani na mnie nie obrazi, ale muszę powiedzieć, że temu, kto ostatni używał tego aparatu, to było, za pozwoleniem, czuć z ust!..

⊙ ⊙

Uprzejmy gospodarz

W restauracyi siedzi jeden jedyny gość, a choć służba się kręci tędy i owędy, nie może się o nic doprosić.

Zwraca się więc z zażaleniem do gospodarza, a ten wysłuchawszy, mówi:

— Pan łaskawy daruje, ale to jest banda, z którą trudno sobie poradzić!... — zwracając się zaś do kelnera, dodaje: Macie, psiakrew, tego jednego zas..a..a gościa i nie możecie go porządnie obsłużyć!...

---

le razy chodzi o bramie — byle nie w skórę... — yle razy przyznaję się do tego patrona...).

I znów dzwonek.

Otwieram... Deputacya pracowników Zakładu Tallarda.

Znam ich z roku ubiegłego, nim więc zaczęli mówić, ja zabieram głos:

— Panowie źle się bardzo wybrali!... Muszę się przyznać, że ja panom w tym roku zbyt wiele nie dałem do roboty.

— My też skróś tego tutaj przyszli — rzekł jeden z nich. — My wiemy, że wy, biedaki, nie macie co w gębę wziąć... A jeśli kto nie je, to nie ma i innych potrzeb!... Ale my też przyszli za to panu podziękować i składamy tyle na ile nas stać, aby pan bodaj w Nowy Rok zjadł sobie coś porządnego.

I wpakował mi w rękę kilka papierków, a nie czekając na mą odpowiedź, cała deputacya zniknęła.

Nie mogło mi się to wszystko w głowie pomieścić. Czy świat się przewrócił do góry nogami — kombinowałem, a miałem do tego podstawę ze względu na ów koniec pana Porty.

Z rozmyślań otrzeźwił mnie mój nadworny szewc

— Cóż tam majster powie? — zapytałem, przypominając sobie, że za ostatnie zelówki dotąd „wiszę".

— Chciałem panu literacie — rzekł kłaniając mi się, co mu się dotąd nigdy nie zdarzało — powinszować zdrowia, szczęścia, fortuny i niebieskiej korony.

Przy tem ostatniem słowie westchnąłem, a on na to:

— Ja wiem, że u was o korony ciężko!... Dlatego też właśnie przyszedłem aby panu powiedzieć, że mi pan nic nie jest winien!... Aby pan zaś wiedział, że każdy szewc jest bardzo delikatny, ma tu pan...

I wsadził mi coś w rękę i poszedł, nie czekając na odpowiedź.

Patrzę i oczom nie wierzę. Dziesięć koron... I to banknot niestemplowany!...

W tej chwili zadzwonił ktoś do drzwi, ale teraz naprawdę... Budzę się, w pokoju już zupełnie jasno...

Nowy Rok 1920!...

Westchnąłem cicho i pospieszyłem do drzwi. Maciejowa...

Przypomniał mi się sen niedawny, popatrzyłem też na nią, jak mnie samemu się wydawało, dziwnym wzrokiem, a ona tymczasem mówiła:

— Zdrowia, szczęścia, fortuny i niebieskiej korony!... A niech tam pan dobrodziej o mnie nie zapomina, bo to teraz ciężkie czasy.

Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z tego, że tamto był sen, a to jawa i to najordynarniejsza, jaką może być. Maciejowej podziękowałem za życzenia, życząc jej nawzajem, bojąc się zaś, aby nie zjawiła si reszta gratulantów z nocy, zamknąłem drzwi na trzy spusty, położyłem się do łóżka i sam sobie powiedziałem, że *mnie w domu nie ma*.

Jaka to jednak szkoda, że się sny nie sprawdzają, choćby tylko noworoczne!..



— Co ci najdroższa?

— Mam migrenę!... Zatelefonuj zaraz po doktora.

— Doktora praw czy medycyny?



— Co? Krawiec całuje moją żonę!? To będzie go drogo kosztowało! Co najmiej jeden kostyum zimowy z dodatkami!...



Poeta: Jak się pani podobają moje poezye?

Aktorka: Autor działa na mnie usypiająco, chociaż cierpię na bezsenność!...

Poeta: Tak? a więc przyjdę dziś w nocy, by zapewnić sen pani!...



— Gdzie mieszkasz moja mała?

— Jeżeli pan chce, mogę się do niego na parę godzin przeprowadzić!



— Mój drogi! Kup mi tę kolię z perłami!..
— Stanowczo nie!... Wszak wiesz, że po perłach są zwykle łzy.
— Ale ty nie wiesz, że po łzach — perły następują!



— Bądź zdrów, mój mężu, a prowadź się przyzwoicie, zwłasza wieczorami!
— Wieczorami to nigdy sam się nie prowadzę!... Albo przyjaciel, albo przyjaciółka, albo policyant!



A zatem czekam na to upragnione *randes vous!* ... Ciekawam bardzo kto tu dzisiaj przyjdzie!



On (śpiewa) Rozwinę żagle. wyjmę ster.
Ona (przerażona) Nie rób pan tego, jeszcze kto z brzegu zobaczy.

Ferdek Eleuteryk.



No i co Państwo na to?... Ten z przeproszyniem meksykański astronom zbejoł sie na całyj leniji i to tak dokumentnie, że nie kużdy tak potrafi, choćby był nawet radcom mijskim. Mioł być kuniec świata, planety i kumety miały se zatańcować „rach-ciach-ciach“, a nos mieli dyabli wziąć razem z bebechami, a tymczasem świat stoi na swoim mijscu, słońce, choć z dziurom, świci (o ile mo ochote, bo teroz i ono nauczyło sie od ludzi i o bele co strajkuje...), a bida, ja ko była, tako i jest i bedzie w dalszym ciongu.

Mnie sie widzi, że ten meksykański Portka to sie pomyluł, abo tyż nie zrozumieli go nasi szmaciorze i nagrypsali, co w grudniu mo być kuniec świata, a to mioł być ino, jak zawdy dawnij bywało za przedwojennych czasów, kuniec roku. Ale ten kuniec wypadoł zwykle na 31. grudnia, w imininy świntygo Sylwestra, a tygo roku mioł byc przyspieszony, zdaje sie z tygo powodu, aby urzyndniki mogły być trzynastom pensyje pobirajoncy, jak to było zapowiedziane.

Jakem ino w *Kuryerku* przeczytoł, co mo być kuniec świata, pomyślołem sobie zaro, że to ino zawracanie gitary, bo przecie kuniec świata nimoże sie być bez różnych okropności obchodzoncy, a dotond o tem ani słychu, ani dychu.

Naprzód powinien był jeździć na ognistym wozie Ancykryst i zbirać ludzi, aby sie u nigo ogrzali, a potym powinny były trombić anioły, że się zbliżo sond ostateczny i wszystkie cysarsko-królewskie obewatele mają się stawić do musterunku na dolinie Jozefata.

A w tym czasie nie było właśnie nijakigo trombinio, bo nie było gdzie, nie było co i, co najważnijsze, nie było za co. Zwykły śmiertelnik cycnął se na kuraż, aby tyn kuniec świata jakoś przetrzymać, ale taki cyc, to nie żoden cyc!... Nawet u Siapsi, który był dotond znany z uczciwyj trunkowości, istno woda!... Chodziło człekowi po makówie, że może i Siapsia przystoł do Leuteryji i lotygo doliwo coroz wincyj wody.

Dawnij trombili bodaj paskorze, a teroz to sie i im odniechciało. Obleciol ich, jak gwarzy nasz Sinkiewicz, blady strach, bo, choć kuńca świata nie było, był na nich taki maluśki sond ostateczny i sporo ich liczba dostała sie do paki, gdzie już były siedzące restauratory i kawiorze, aby nie potrzebowali być narzykajoncy na cinżkie czasy, zimno i brak aprowizacyji.

Wogóle w ulu teroz bardzo wesoło i ludno, a towarzystwo takie destyngowane, że się poprostu nie chce go opuszczać, gdy każą zabirać manatki i wynosić sie na cztyry wiatry!

Aby nikomu nie była krzywda, są tu i goje i gudłaje, a kuždy mo co innygo na suminiu, bo kuždy był robioncy w innym fachu. Jeden dostoł sie tu tak letko, jak po smalcu (jedzie się tak samo, jak po kunerolu, ale trza mieć szczyńście i być ładnym!...), drugi po nitce chcioł być do kłębka dochodzącym, a tymczasem doszed do kryminału, o trzecim mówili, że „słodkie są czyny jego“, bo paskowoł w cukrze, a potym sie pokozało, że kuniec jest gorzki i choć doktór prawa, poknajoł na lewo!... Już to wogóle człek nie jest nigdy pewnym ani dnia, ani godziny, ani tyż nie jest wiedzoncym, gdzie nań czyho nieszczyńście!...

Kuniec kuńcem pokozało sie, że sie obeńdzie bez kuńca świata, żywi mogom dalij klepać bide, a nieboszczyki spać snem wiecznym i czekać na nowe wybory, do których ich zbudzi głos tromby, ale nie archanielskij, ino magistrackij.

To ino bida, że skroś onygo kuńca świata świnta Bożygo Narodzynio były, jak to gwarzom „pod piesem“. Nikt sie do nich nie przygotowoł, bo kuždy był se tłumaczoncy, że szkoda se makówę kłopotać i suszyć, skoro bedzie ze życiem ślus!

Nawet opłatków nie było, bo duchowiństwo, to jest organisty, czyli dławidudy i kościelni nie byli na nie monki dostajoncy. Łamaliśmy sie wienc zamiast opłatkiem, kartom chlebowom i życzyli sobie, aby, skoro sie świat nie skończył, skończył sie bodaj ten rok, a zaczon nowy, klawszy od tamtygo.

I to życzynie było sie spełniajonce, ale ino w czyńści. Rok sie wprawdzie zaczon, ale, czy bedzie klawszy od tamtych poprzednich, tygo nikt nie jest powiedzieć mogący, choćby był nawet i prorokiem i to nie na dwu, ale na cztech nogach chodzoncym. Nawet i taki może sie potknąć, to jest pomylić.

Włazimy wienc w rok nowy, 1920., który o tyle jest gorsiejszy od 1919., że jako przestępny, bedzie o jedyn dziń dłuższy. Ale, mówił raz ruski prorok: *„Perebułyśmy pańszczyznu, perebudemo konstytucyu“*... Tak i jo gwarze: „Nie daliśmy sie pińciu rokom wojny, nie damy sie i szóstymu!“...

W góre serca, w góre makówy i inne czyńści ciała o ile som sie jeszcze podnoszonce!... Trza ino to przetrzymać, a wszyćko bedzie klawo! To ino bida, że „na wytrzymanie“ w żodnyj aptyce medycyny nie kupi. Może sie zresztom obeńdzie bez nij. Zawsze to klawij umrzyć naturalnom śmierciom, to jest, bez pomocy doktora i pigulorza!...

Starym wienc zwyczajem, robionc najprzyjimnijszom mine, na jakom mnie stać. jestem P. T. Czytelnikom życzynia składajoncy, aby długo żyli w zdrowiu i szczyńściu i nie zapomnieli o złożyniu prenumeraty na *Bociana*, któryj waronki bardzo przystympne nawet dlo niepaskorza, podane som w nagłówku. Jedyn Prenumerator może ambonować nawet i kilka egzemplarzy, co mu bedzie policzonem za życia, nie mówioncy już, że i po śmierci, ale o takich paskudnych rzeczach nie powinno sie być w Nowy Rok gwarzącym.

Wienc:

„Szczyńścia, zdrowia, pomyślności
Zycze P. T. Publiczności!“...

Niewygodne położenie.

Kto już w życiu przeszedł dużo,
Ten z pewnością to ocenia,
Że są różne, mniej lub więcej
Niewygodne położenia.

Znałem pewną szyk kobietkę,
Co mi była ideałem
I już nawet dosyć długo
W mej bogini się kochałem.

Gdym jej właśnie wyznał miłość,
W cztery oczy — tak bez świadka,
Dowiedziałem się, że jest to,
Ku rozpaczy mej, mężatka!...

Mąż był komiwojażerem
I wciąż tłukł się gdzieś po świecie,
Jam był w miłem położeniu,
Że — no zresztą chyba wiecie!...

Siedząc razem z moją lubą
W buduarze na kozetce,
Tysiąc zaklęć, tysiąc przysiąg
Szeptam w uszko mej kobietce.

Mąż po świecie podróżuje,
Moje serce uczuć głodne.
Ktośby myślał, że jest takie
Położenie dość wygodne?

Nie! Zerwałem z piękną panią
I to, wiecie z czyjej winy?
W jej kozetce były strasznie
Wygniecione już — sprężyny!...



Z anegdot o ks. Machaczku.

Swojego czasu był w Nowym Sączu proboszczem ks. Machaczek, Czech rodem, znany szeroko w całej Galicyi ze swego dowcipu i przytomności umysłu.

Zdarzyło się, że pewnego razu jechał ks. proboszcz w odwiedziny z miejscowym pastorem ewangelickim.

Gdy mijali figurę przydrożną, ks. Machaczek zdjął kapelusz. Widząc to, rzecze doń pastor:

— Machaczek!... Ja ciebie miałem za mądrzejszego człowieka! Kłaniasz się kawałkowi kamienia?... Ciekawy jestem dlaczego teraz nie zdejmujesz kapelusza?... Tu przecież więcej kamieni! — i wskazał na cały ich stos, ułożony przy drodze.

Machaczek zaś uśmiechnął się, a po chwili pyta:

— Słuchaj!... Czy ty całujesz czasem swą żonę?

— Naturalnie! — odpowiada zagadnięty.

— A gdzie?

— Jakto gdzie?... W twarz!...

— W twarz?... A dlaczego nie gdzieindziej? Tam jest przecież więcej mięsa!... Ja ciebie miałem też za mądrzejszego człowieka!...

W okolicy Sącza panowała ogromna posucha.

Z tego powodu odbyła się nawet procesya błagalna, którą prowadził ks. Machaczek.

Ale deszczu ani śladu!

I miejscowi ewangelicy urządzili też po jakimś czasie nabożeństwo z prośbą o deszcz. Jeszcze się ono nie skończyło, otwarły się upusty niebieskie, a deszcz lunął jak z cebra.

Wieczorem spotyka się ks. Machaczek z pastorem, a ten, chcąc sobie zeń zakpić, powiada:

— A co?... Kogo Pan Bóg bardziej kocha, nas, czy was?... Dwa tygodnie, jak urządziliście procesyę i deszczu nie było, tymczasem nasze nabożeństwo jeszcze się nie skończyło a już leje!

— Uczyłeś się ty kiedy fizyki? — pyta na to ks. Machaczek.

— Pewnie!...

— To zdaje się, wiesz, ile metrów przebiega głos w jednej sekundzie?...

— Wiem!

— No, w takim razie nie gadaj głupstw!... Pomyślno tylko, jak daleko jest z ziemi do nieba, a musisz przyznać, że ten deszcz jest odpowiedzią na nasze prośby, nie wasze! Wy musicie poczekać jeszcze ze dwa tygodnie!...

U ks. Machaczka spowiadali się bardzo chętnie miejscowi studenci, gdyż był on bardzo wyrozumiałym na błędy młodości.

Pewnego razu zgłasza się doń pewien młodzian i po wyznaniu grzechów prosi o radę, co ma czynić. Zasłabł na oczy, a lekarz poradził mu, aby zerwał z cnotą czystości, gdyż to dobrze zrobi na jego cierpienie. Jako żyjący według zasad moralności, postanowił przedtem poradzić się swego spowiednika.

Słysząc to, rzecze ks. Machaczek:

— Powiedz swemu doktorowi, że on jest głupi osioł!... Gdyby to była prawda, to ja musiałbym już widzieć przez mur!...

Przez sen.

W wagonie trzeciej klasy pociągu osobowego z Krakowa do Wiednia zabawia się rozmową grono obywateli wyznania mojżeszowego. Tylko dwu z nich nie bierze w niej udziału Salzstangel je kolacyę. Beigel zasnął snem sprawiedliwych...

Salzstangel lubi żarty, podsuwa więc pod nos śpiącemu Beiglowi kawałek kwargla, jaki miał właśnie w ręce. Beigel odwraca głowę. Salzstangel prześladuje go dalej w ten sam sposób, co w całym wagonie wywołuje ogromną wesołość.

Biedny Beigel odpędza ręką od siebie miły zapach, ale oczu nie otwiera, po chwili, nie zdaje sobie widocznie sprawy z tego, w jakich się znajduje warunkach, mówi sennym głosem:

— Sure! Ja ciebi tyle razy prosiłem, abyś ty się porządnie nakrywała z kołdrem!...

Z listów Hermogenesa Klapy.

Panowie i Panie i Wy wszyscy, którzy ani do jednych, ani do drugich nie należycie! Fortuna kołem się toczy, a kto jest na wozie, może się łatwo znaleźć i pod wozem.

Tak stało się i ze mną, a tego mi właśnie żal, że na tym wozie byłem zbyt krótko. I dlatego ze zbolałem sercem zwracam się dziś do ogółu P. T. Czytelników, aby się przed nimi uskarżyć na los garbaty, bo nie wątpię, że, współczując ze mną, utrą mi ową łzę, która spływa po nosie.

Bo nie jestem już ministrem!... Przeszły piękne dni mego urzędowania, jak z bicza strzelił, nie miałem nawet czasu na wysiedzenie porządnej dziury w ministeryalnym fotelu, aby potem można go było pokazywać narodowi ze słowami: „Oto praca Klapy z czasów, kiedy był ministrem!... Siedział wytrwale, aż ją wysiedział, dając tem dowód, że gorliwy i dla dobra ogółu poświęcający się minister pracuje nie tylko głową, ale także i innemi częściami ciała!... Wszystkie one są na usługi społeczeństwa!..."

Tak mogę powiedzieć sam o sobie, choć się chwalić nie lubię, bo ja właśnie jestem taki i to mnie jedynie boli, że się świat na mnie poznać nie może, czy nie chce...

Od urodzenia prześladuje mnie pech!... Wystarczy powiedzieć, że przyszedłem na ten świat wbrew mej woli, ale to były dawne czasy, gdy się takiego zwykłego, jak ja, śmiertelnika, nikt o zdanie nie pytał...

I w miłości też mi się nie wiodło!... Miałem wprawdzie fenomenalne szczęście do kobiet, każda mi się bowiem podobała, ale ja im nie. Mówiono, że im zawracam głowy, ale to dlatego, że odwróciły je na mój widok.

Dlatego się też nie ożeniłem, ale przyznam się, tego zupełnie nie żałuję!... Dziś może i chciałbym, ale już zapóźno, mówiąc słowami poety „klapa!..."

I temu to właśnie pechowi mam do zawdzięczenia, że do gabinetu Paderewskiego dostałem się akurat w tym czasie, gdy się miał rozlecieć!... Myślałem sobie, że będę ministrem do końca świata i jako taki przejdę do historyi, niestety, stało się inaczej!... Na cały tydzień przedtem poszedłem na „zieloną trawę", gdyż pan Skulski, urządzając swój gabinet, postarał się przeważnie o nowe meble, a jako chemik zawodu, tekę dobrego humoru zatrzymał dla siebie, a ja jestem tylko mechanik, co to „bańki nosem puszcza".

Ostatecznie nie byłoby to jeszcze nic tak wielkiego i strasznego, że, choć mi na tym fotelu było bardzo wygodnie, musiałem się podać do dymisyi, skoro w gabinecie obowiązuje zasada, „jeśli wleziesz między wrony, tak kraj, jak i ony!..." Zakrakali inni, musiałem i ja, choć podobnie jak pan Paderewski, nie miałem ochoty.

Ja byłem od niego w położeniu o tyle lepszem, że bodaj mogłem zostać w swem mieszkaniu, a on się musiał z Zamku wyprowadzić. Mogłaby go była ominąć ta nieprzyjemność, ale tylko w tym wypadku, gdyby go obrano królem polskim. Niestety, konstytucya spi jeszcze w komisyi. Sam sobie zatem winien, że tej sprawy nie pilnował, a jeszcze dziwniejsze, że pani Helena o tem nie pamiętała!...

Mnie tylko to boli, że do *Gwizdka* już się dostać nie mogłem, gdyż się tam rozsiadł kto inny, czyli, że mówiąc grzecznie, puszczono mnie w trąbę.

A, chociaż nie jestem muzykalny, tak sobie ten zawód wziąłem do serca, że miałem w pierwszej chwili zamiar popełnić samobójstwo z rozpaczy, ale żal mi było emerytury. Zresztą, powiedziałem sobie, tak czy owak, za dni kilka będzie koniec świata.

Ale i koniec świata został z niewiadomych przyczyn odwołany, ponieważ przykrzy mi się bez stałego zajęcia, korzystając z zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, wybrałem się do Amarangen, w odwiedziny do ex-cesarza Wilhelma. On emeryt, i ja emeryt, we dwu będzie nam i weselej i przyjemniej.

Ogromnie się naturalnie ucieszył, że o nim nie zapomniałem.

— Serce mi mówiło — rzekł do mnie — że ty jeden o mnie pamiętasz!... Pamiętają wprawdzie i Wilson i Clemenceau, a głównie Lloyd George, ale ja nie miałbym nic przeciw temu, gdyby o mnie zapomnieli Nieraz sobie myślę, co to będzie, ale nie znajduję ani wyjścia, ani rady...

— Może wasza cesarska mość sobie życzy — ja mu na to — abym przysłał radcę cesarskiego. Mamy ich dość, a nie mają co robić. Mogliby coś doradzić...

— Już ja obejdę się bez ich dorady — on mi na to. — Oni radzą dobrze, ale sobie!

— Bardzo przepraszam!... Muszę stanąć w ich obronie!... Nie zawsze!... Gdyby tak było, jak wasza cesarska mość twierdzi, nie dostałby się jeden i drugi do ula!

— Może masz i racyę, mój drogi Klapa, ale ja już wolę obejść się bez nich. Od tego masz głowę, a w niej mózg!

I popukał się po czole, jak gdyby się chciał przekonać, czy jest tam coś jeszcze, a potem widocznie przypomniał sobie trzeci tom pamiętników Bismarcka, bo dodał:

— I co ty na to, że ten łotr nawet po śmierci spokoju mi nie daje!

— Kto taki? — zapytałem nie wiedząc, o co chodzi.

— Bismarck!... Nie czytałeś?... Zrobił ze mnie waryata i powiada, że chciał mnie oddać pod kuratelę.

— A to szelma!... I cóż wasza cesarska mość na to?... Ja będąc na jego miejscu, kazałbym go powiesić!

— Skoro on już nie żyje...

— Prawda!... Zapomniałem na śmierć, choć byłem nawet na pogrzebie... Ja bardzo przepraszam, że radzę, choć nie jestem nawet radcą cesarskim *in part bus infidelium* nie robiłbym sobie nic z tego!... Niech sobie pisze!.. Zresztą, przyznam się szczerze, to waszej cesarskiej mości może wyjść tylko na dobre!

— Nie rozumiem!...

— Zaraz wytłumaczę! Jeśli już przyjdzie do owego sądu, pokaże się im, co Bismarck napisał, a, że to był mądry chłop i gadał prawdę, muszą mu sędziowie uwierzyć i powiedzą — waryat!... A waryata się przecież nie sądzi i nie karze, tylko leczy...

— Wiesz, że ty masz głowę nie tylko od noszenia kapelusza!... Jeśli mi się kiedyś uda wziąść do Niemiec, zaraz tam zaprowadzę instytucyę radców cesarskich, a pierwszym będziesz pan, pamie Klapa!

— Dziękuję z góry!... Ale, co to za zaszczyt dla mnie, emerytowanego ministra?...

— Więc jesteś bez miejsca?

— Tak!... Puszczono mnie w trąbę!... Mogłem się wprawdzie dostać do *Puzappu*, ale wolę z nim nie mieć nic wspólnego, gdyż tamtędy prowadzi prosta droga do ...kryminału.

— A cóż to za *Puzapp?*

— To jest „Pierwszy urzędowy zespół aprowizacyjnych pokątnych paskarzy"...

W Amarangen zabawiłem cały tydzień i choć mię Wiluś nie chciał puścić, pożegnałem go, aby na dzień Nowego Roku wrócić do kraju i módz osobiście złożyć życzenia P. T. Czytelnikom i prosić ich, aby rozglądnęli się, czy nie znajdą dla mnie jakiego zajęcia. Roboty może być mało, byle pensyjka była niezgorsza...

Życzę zatem wszem wobec i każdemu z osobna, aby ten dzień Nowego Roku był początkiem nowej, lepszej ery. Stary rok się skończył, niech się skończy i stara bieda, bo chyba zasłużyliśmy na to, aby raz już swobodniej odetchnąć. Tego Wam życzy z serca

Klapa, emeryt.

Kaleka.

Ormianie odznaczają się wielkim nosem, co u nich należy do szyku i wielkiemi oczyma (podobno następstwo nadmiernego koziego mięsa co powoduje... obstrukcyę).

Pewne ormiańskie stadło pobłogosławione zostało potomkiem płci męskiej. Gdy sąsiedzi składali rodzicom z tego powodu gratulacye, ogólne zapanowało zdziwienie, że rodzice, zamiast się cieszyć, są widocznie zmartwieni. Zapytano więc o powód.

— Kaleka! — odpowiada ojciec.

— Kaleka! — powtarza matka.

— Czy być może?... — pyta ktoś z obecnych — A cóż malcowi brakuje?

— Popatrz pan na nos! — ojciec na to.

A noworodek miał w samej rzeczy nos tylko proporcyonalny!...

⊚ ⊚

Złośliwy.

Po kolacyi zabawia się towarzystwo różnemi grami.

Na porządku dziennym jest właśnie zabawa w poetę, polegająca na tem, aby do zadanego wiersza dorobić rym. Kto tego nie potrafi, składa fant.

Kolej przyszła na pana Jana. Myślał właśnie na tem, co ma powiedzieć, gdy nagle wśród ogólnej ciszy nieartykułowany głos, ale... nie z ust... (Na kolacyę była szynka z *purée* grochowem, należącem do materyałów wybuchowych, a on miał niezgorszy apetyt i bynajmniej nie żałował sobie...).

Ogólna konsternacya, pan Jan jednak nie stracił fantazyi i począł się kręcić na skrzypiącym krześle., aby w ten sposób dać do poznania, że to ono, a nie on jest winowajcą.

Ale speszył go pan Stefan, jego przyjaciel, mówiąc ze złośliwym uśmiechem:

— Daj pan spokój!... Do tego pan nie znajdzie odpowiedniego rymu!...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.



Głodnemu chleb na myśli.

— Przyznam się pani, że byłem w fatalnem położeniu!...
— *W położeniu?...* Zapewne materac był twardy.